

# POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 18 STYCZNIA 1930 ROKU

NR. 3

JÓZEF CONRAD KORZENIOWSKI

PRZEKŁAD ANIELI ZAGÓRSKIEJ

## 3) JĄDRO CIEMNOŚCI

Doręczyliśmy wojennemu statkowi listy (mówiono mi, że ludzie na tym samotnym okręcie umierają na febrę przeciętnie po trzech dniach) i popłynęliśmy dalej. Odwiedziliśmy jeszcze kilka innych miejscowości o nazwach jak z farsy, gdzie śmierć i handel wiodą wesoły taniec wśród cichej atmosfery nasyconej zapachem ziemi, niby w przegrzanych katakumbach; płynęliśmy wzdłuż bezkształtnego wybrzeża, obramionego pianą niebezpiecznych nadbrzeżnych fal, jakby sama przyroda usiłowała odeprzeć intruzów; wjeżdżaliśmy w ujścia rzek — strumieni śmierci toczących się wśród życia — których brzegi rozpadały się w błoto, których wody, zgęszczone w szlam, ogarniały poskręcane mangrowje, zdające się wic przed naszym wzrokiem w ostatecznej, bezsilnej rozpacz. Nie zatrzymaliśmy się nigdzie tak długo, aby można było doznać jakichś odrębnych wrażeń, ale ogólne uczucie nieokreślonego i dotkliwego zdziwienia wciąż we mnie wzrastało. Była to niby uciążliwa pielgrzymka wśród zapowiedzi nocnych zmór.

— Minęło z górą trzydzieści dni, nim zobaczyłem ujście wielkiej rzeki. Zapusciliśmy kotwicę naprzeciw rządowej siedziby. Ale moja praca miała się zacząć dopiero o jakieś dwieście mil dalej. To też wyruszyłem możliwie najprędzej do miejscowości, położonej trzydzieści mil w górę rzeki.

Odbyłem drogę na małym morskim parowcu. Kapitan, Szwed, wiedział że jestem marynarzem i zaprosił mnie na mostek. Był to człowiek młody, szczupły, nasepiony blondyn; włosy miał rzadkie i powłóczył nogami. Gdyśmy odbijali od lichego, małego pomostu, wskazał pogardliwie głową na brzeg.

— „Tam pan mieszkał?” — zapytał.

— „Tak”, — odpowiedziałem.

— „Niezwykłe okazy, ci rządowi faceci — co?” — mówił dalej po angielsku z wielką precyzją i głębokim rozgoryczeniem. — „To ciekawe czego się którzy ludzie nie podejmą za parę franków na miesiąc. Chciałbym wiedzieć co się dzieje z takimi osobnikami, kiedy się znajdują tam w górze rzeki?”

— Odrzekłem, że mam nadzieję wkrótce się o tem przekonać.

— „Więc to ta — a — ak!” — wykrzyknął. Powlókł się wpoprzek statku, zerkając czujnie ku przodowi. — „Niech pan nie będzie zanadto pewien siebie — mówił dalej. — „Parę dni temu odczepiłem człowieka, który się powiesił na drodze. Był to także Szwed”.

— „Powiesił się! Dlaczego, na miłość Boską?” — wykrzyknąłem. Kapitan patrzył wciąż bacznie ku przodowi.

— „Któż to wie? Może nie mógł znieść tutejszego słońca, a może i kraju”.

— Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka się rozszerzała. Ukazało się skaliste urwisko, wały wydobytej ziemi na brzegu, domy na wzgórzu; inne domki o żelaznych dachach tkwiły wśród pustki porytej wykopanymi jamami, lub przywierały do stoku. Nieustanny szum prądów unosił się nad owym wizerunkiem zamieszkanego pustyni. Gromada ludzi, przeważnie czarnych i nagich, roiła się jak mrówki. Pomost wstępował w rzekę. Od czasu do czasu oślepiające słońce zalewało nagle to wszystko wzmocnionym jeszcze blaskiem.

— „Oto stacja waszej spółki” — rzekł Szwed, wskazując trzy drewniane budynki, podobne do baraków, stojące na skalistej pochyłości. Odeślę tam panu rzeczy. Cztery skrzynie, tak? Dobrze. Żegnaj pana”.

— Natknąłem się na kocioł poniewierający się w trawie i znalazłem ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Skręciłem w bok z powodu leżących na drodze głazów i małego wagonika przewróconego do góry kołami. Jednego z nich brakowało. Ten wagonik wyglądał tak martwo jakby był trupem jakiegoś zwierzęcia. Natrafiłem znów na rozpadające się maszyny, na stos zardzewiałych szyn. Po lewej stronie kępa drzew rzucała nieco cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się zwolna poruszać. Przymrużyłem oczy: ścieżka była stroma. Na prawo rozległ się dźwięk rogu, i spostrzegłem, że czarni się rozbiegają. Ciężki i głuchy huk wstrząsnął ziemią, kłęb dymu wydobył się ze skały, i to było wszystko. Żadna zmiana w skale nie zaszła. Budowano tam kolej. Owa skała nie leżała bynajmniej na drodze; ale bezcelowe jej wysadzanie było całą robotą jaką wykonywano.

Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych ludzi szło ścieżką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łachmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie żebra tych ludzi, stawy ich członków wyglądały jak węzły na linie; każdy miał na szyi żelazną obrozę a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się między nimi z rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od strony tej samej skały i przypomniał mi nagle ów statek wojenny, który widziałem strzelający w głąb kontynentu. Był to ten sam rodzaj złowieszczonego huk; ale tych ludzi żadną miarą nie można było nazwać nie-



przyjaciółmi — nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone przez nich prawo, tak jak i pękające pociiski, przybyły z za morza — niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały razem, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie, nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną, śmiertelną obojętnością dzikich, którzy są nieszczęśliwi. Wśląd za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców — rezultat nowych sił — włókł się zgnębiony, trzymając przez środek strzelbę. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścieżce białego, podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność; nie mógł poznać odrazu kim jestem, ponieważ biali są na dystans bardzo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił, pokazując białe zęby w szerokim, łotrowskim uśmiechu, przy czem ogarnął spojrzeniem powierzonych mu ludzi, jakby poczuwał się ze mną do koleżeństwa w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja byłem również częstką wielkiej przyczyny, wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie.

Zamiast iść w górę, odwróciłem się i zacząłem schodzić na lewo. Chciałem aby ci więźniowie skuci łańcuchem zniknęli mi z oczu zanim znów zaczną się wspinać. Wiecie, że specjalnie czuły nie jestem; wypadło mi nieraz izadawać ciosy, i odpierać je. Czasem musiałem się bronić, a czasem atakować — co jest tylko pewną formą obrony — nie zastanawiając się wiele, zgodnie z wymaganiami życia w jakie wdepnąłem. Widywałem szatana przemocy, i szatana chciwości, i szatana pożądliwości; ale, na Boga! byli to silni, jurni szatani o ognistych ślepiach, którzy rządzą i powodowali ludźmi — ludźmi, mówię wam. Lecz stojąc tam na zboczu wzgórza, poczułem że pod oślepiającym blaskiem słońca w tym kraju zapoznam się z rozlazłym, kłamliwym, bezbarwnym djabełem, opiekunem drapieżnej i bezlitosnej głupoty. Jak chytrym umiał być także, przekonałem się dopiero po kilku miesiącach i o tysiąc mil dalej. — Zatrzymałem się, przerażony, jak gdyby mię ktoś ostrzegł. Wreszcie zacząłem schodzić naukos ze wzgórza, kierując się ku drzewom które przedtem widziałem.

Obszedłem wielką dziurę, którą ktoś wykopał na zboczu w celu niemożliwym do przeniknięcia. Nie wyglądała w każdym razie ani na kamieniołom, ani na jamę z której wybrano piasek. Była to poprostu dziura. Może miała coś wspólnego z filantropijnem pragnieniem aby dostarczyć zbrodniarzom jakiegoś zajęcia. Nie wiem. Potem znów o mało co nie wpadłem do bardzo wąskiej szczeliny wyglądającej na zboczu jak nieznaczna blizna. Odkryłem, że wrzucono tam całe mnóstwo rur sprowadzonych dla zdrenowania osady. Potłukły się wszystkie co do jednej. Było to rozpasane niszczycielstwo.

— Dotarłem wreszcie do drzew. Zamierzałem powąłęsać się trochę w ich cieniu; ale ledwie się tam znalazłem, wydało mi się że przestąpiłem ponury krąg jakiegoś Inferno. Wartkie prądy pobliskiej rzeki wytwarzały nieustanny, jednostajny, ślepy, gwałtowny hałas, przepelniający tajemniczym rytmem żałobny spokój gaju, jak gdyby szarpiący krok rozpędzonej ziemi stał się nagle słyszalny wśród drzew, gdzie się nie czuło najłżejszego powiewu, gdzie nie drgnął żaden listek.

— Czarne kształty czołgały się, leżały, siedziały między drzewami, opierając się o pnie, tuliły się

do ziemi — to widzialne, to przestłonięte mętym półmrokiem — we wszelkich możliwych pozach wyrażających ból, zgnębienie i rozpacz. Wybuch miny w skałce dał się znów słyszeć i ziemia wzdrygnęła się lekko pod memi nogami. Praca posuwała się naprzód. Praca! A tutaj było miejsce, gdzie niektórzy jej wykonawcy usunęli się by umrzeć.

— Umierali powoli — to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało już w nich nic ziemskiego — były to tylko czarne cienie choroby i głodu, leżące bezładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszystkich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzućni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą — osłabli, stali się niezdolni do pracy; pozwolono im wreszcie odpełznąć i wypoczywać. Te konające postacie były wolne jak powietrze — i prawie równie niematerjalne. Zacząłem rozróżniać pod drzewami połysk oczu. Potem, spojrzawszy w dół, zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielet leżał wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się zwolna i zapadłe oczy spojrzały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne — w głębi orbit zatliło się jakby ślepe, białe światło i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego — był to prawie chłopiec — ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia cobym mógł dla niego zrobić, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go — był to ostatni ruch, który dostrzegłem, ostatnie spojrzenie. Naokoło szyi miał zawiązane pasemko białej wełnianej przędzy. Dlaczego? Skąd je wy dostał? Czy to był jakiś znak szczególny — czy ozdoba — czy amulet — czy akt błagalny? Czy była wogóle jakaś myśl z tem związana? Ta odrobina białej przędzy z za mórz wyglądała dziwnie niepokojąco na czarnej szyi.

— Niedaleko tego samego drzewa jeszcze dwie wiązki kątów ostrych, siedziały z podciągniętymi nogami. Jeden z tych Murzynów oparł brodę o kolana, patrząc w próżnię w przerażający, nieznośny sposób; bratnia jego mara złożyła czoło na kolanach, jakby owałdnięta wielkiem zmęczeniem; inne jeszcze były rozrzucone wokoło, poskręcane we wszelkich możliwych pozach wyczerpania, jak na obrazie rzezi lub moru. Gdy stałem, porażony zgrozą, jedna z tych istot zwlokła się na ręce i kolana i popęzła na czworakach w stronę rzeki aby się napić. Chłęptała wodę z dłoni, potem usiadła na słońcu, skrzyżowawszy przed sobą piszczele, a w chwilę potem wełnista jej głowa opadła na piersi.

— Miałem już dosyć wałęsania się w cieniu i pośpieszyłem ku stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego, ubranego z tak nieoczekiwaną elegancją, że w pierwszej chwili wziąłem go za coś w rodzaju wizji. Zobaczyłem wysoki, nakrochmalony kołnierzyk, białe mankiety, lekką alpagową kurtkę, śnieżne spodnie, jasny krawat i lakierki. Kapelusza nie miał. Włosy jego były rozdzielone, wyczesane i wypomadowane, a w dużej, białej ręce niósł parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za uchem jego tkwiło pióro.

Uścisnąłem dłoń temu cudowi, i dowiedziałem się, że to jest główny buchalter spółki i że całą księgowość prowadzi się właśnie na tej stacji. Powiedział iż wyszedł tylko na chwilę aby „odetchnąć świeżym powietrzem”. To wyrażenie brzmiało dziwacznie, budząc asocjacje biurowego, siedzącego życia.

(D. c. n.).



# LICZNIK Z CZERWONĄ STRZAŁKĄ

2)

— Niechże pan uważa — powiedziałem jeszcze do Brzozowskiego. — Nie można za nisko przechodzić nad dachami. Maszyna może panu przepaść, jak w studnię. Lepiej lądować nad przerwą między budynkami i trochę wyżej: tam jest równo w powietrzu.

Poleciał. Wyciągał jeden wiraż po drugim, jak młyńce szabli na zwolnionem zdjęciu filmowem. Również, niezawodnie, bez wahań i odchyień regularnej krzywizny łuku. Wszedł pod rozprysnięty i zneruchomiał nad lasem pocisk słońca, skrył się w kłującym snopie jego promieni, wypłynął stamtąd, jako zielona rozmazana plama, odbita w zbolałym od blasku wzroku. Raz jeszcze przełamał krzywe niezdarne odbicie słońca na pochylonych w wirażu skrzydłach i — odjął gaz.

Ucichło. Maszyna szła w dół, rosła, drgała czasem nieznacznie. Niosła się prosto na przerwę między pierwszym i drugim żelazo-betonowym blokiem hangarów. Cień jej wskoczył zręcznie na dach, zsunął się na łeb, na szyję w dół po gładkiej frontowej ścianie, zawadzając o wklęsłości okiennych futryn, poślizgnął się po ziemi, drząc na żdźbłach trawy, i wreszcie — minawszy grupę równoległe z maszyną — uczepił się jej kół i płozy. Brzozowski wylądował.

— Trochę za daleko — powiedziałem, podchodząc do niego. — Niech pan podchodzi z mniejszą szybkością, ale nie niżej.

— Start! —

I znów rudy tuman kurzu przecwałował obok mnie przy starcie, znów wspiał się samolot w górę po stromym łuku wirażu na pełnym gazie, wyrównał i utonął w słońcu, a potem znów przywarł ciasno do swego cienia na ziemi i stanął tuż obok startowej chorągiewki pośrodku lotniska, wyorawszy płytką bruzdę stalową ostrogą płozy.

— I — Start!

Brzozowski nie rusza z miejsca.

— Start! — wołam głośno.

Nic. Sepleni śmigło na małym gazie; szarobłękitny dymek pyka z rur wydechowych.

— O cóż chodzi?

— O nic, panie poruczniku, tylko... — Brzozowski wskazuje tablicę zegarów przed sobą.

Po prawej stronie pulsuje na czterystu obrotach czerwona strzałka ukrytego w samym kącie licznika. Podskakuje, zdaje się drwić bezgłośnie śmiechem, nerwowa, cała w drgawkach złośliwej uciechy.

— Zepsuty? — pytam.

— Nie. Ja tylko tak... To ten sam licznik.

— Nie chce pan lecieć?

— Polecę.

I znowu start!

Jasna przestrzeń wsysa maszynę. Tańczy słońce na powierzchni płaszczyzn nośnych w wirażach. Silnik śpiewa raz głośniej, to znów ciszej, zależnie od podmuchów wiatru, a potem w dali, za hangarami cichutko zaczynają gwizdać między stójkami nośne linki.

Maszyna zapada w jakieś próżnie i dziury.

Widzę, że przejdzie trochę za nisko. Dobrze jeszcze, że Brzozowski prowadzi ją wprost między hangary. Mógłby jednak dodać gazu, aby nabrać trochę wysokości. Jest wciąż bliżej, bliżej i niżej. Oto już cień płatowca wykonał swój karkołomny skok z dachu.

I nagle widzę, że jednak będzie za nisko: tuż za hangarami maszyna musi przelecieć nad słupem i drutami telegrafu.

Brzozowski orientuje się szybko. Między tęskne nuty gwizdzących linek wpada nagle szybki, energiczny warkot silnika.

W tej samej chwili zaszło coś niepojętego: zamiast poderwać się w górę, samolot zapada w próżnię powietrzną, chwieje się, zaczepia osi podwozia o szczyt słupa i z pełnym gazem wali się na ziemię.

Trzeszczą podłużnice, jak łamane piszczele. Drzazgi lecą dokoła, głęboką wyrwę w piasku orze kadłub i, przełamany w połowie swej długości, ruluje, jak śmiertelnie ranny zwierz. Sterczą kikuty zwichniętych skrzydeł i bezradnie łopocą przerażone strzępy płótna.

Nic nie powiedziałem tym razem Brzozowskiemu. Stwierdziwszy z niemałym zdumieniem, że jest zdrow i nietknięty (nigdy nie mogłem dojść, jakim cudem nie skręcił wtedy karku), zajrzałem do gondoli. Musiałem w tym celu położyć się nawznak na ziemi i wczołgać się pod stos szczątków płatowca.

Drażek sterowy był złamany u nasady. Siła uderzenia wyrwała pasy bezpieczeństwa, zniszczyła fotel pilota, wygięła potwornie stalowe wiązania, strzaskała zegary i manometry.

*Licznik obrotów z czerwoną strzałką był cały!*

Nie jestem przesądny, ale dotknęło mnie to do żywego.

Odkręciłem obrotomierz i obejrzałem go lepiej. Nie zepsuł się wcale. Strzałka wachlowała czujnie za każdym obrotem przekładni. To było poprostu oburzające!

— Spławić do innej eskadry — poleciłem krótko werkmistrzowi. — Żeby więcej nie widział tego grata na swoich maszynach.

*Fotografia trzecia i czwarta.*

Mimo wszystko, Brzozowski otrzymał cztery tygodnie urlopu „zdrowotnego”. Buntował się przeciw tej decyzji władzy, ale nie na wiele się to zdało: kazano mu odpoczywać przez tych dwadzieścia ośm dni i nie latać.

— Na wszelki wypadek — oświadczył naczelnym lekarz.

Ja tymczasem skończyłem szkolenie czołowej grupy uczniów na samolotach linjowych i objąłem krótki kurs początkowej akrobacji na Moranach<sup>1)</sup>. Brzozowski wkrótce po urlopie dopędził swoich kole-

<sup>1)</sup> Morane S 35. — typ szkolnego samolotu dwumiejscowego.



gów i znów znalazł się u mnie. Latał doskonale: miał wyraźne zacięcie na asa.

I gdyby nie licznik z czerwoną strzałką...

Było tak:

Rano, gdy tylko wrześniowa mgiełka poranna wsiąkała w soczyste błękitne niebo, pozostawiając po sobie niezrównaną gładź powietrza i płachtę szarej resztki oparów zmieszanych z dymem fabryk nad śpiącym jeszcze miastem, wyszliśmy na start. W mokrej, srebrzącej się od rosy trawie zostawały urwane, jakby zgubione przy starcie, ślady pneumatyków kół samolotowych. Maszyny brzęczały, drząc nawskroś ciszę. W niezdarnych podrygach pełzły z pod hangaru, niby ćmy i chrząszcze z rozwiniętymi do lotu skrzydłami. Potem wykręcały pod wiatr i nagle podrywały się, unosiły ogony, pędziły przed siebie, parły z wysiłkiem w górę, kładły się w wiraż i wstawały do poziomu, krążyły, jak pracowity rój pszczeli dookoła płasko pomiędzy miastem, szosą i lasem wyciągniętego lotniska.

Stałem obok chorągiewki i po raz nie wiem który w życiu tłumaczyłem, jak się robi *retournement*.

— Podciągnąć maszynę na zredukowanym gazie w górę, jak do loopingu. Kiedy zajmie położenie pionowe do ziemi — energicznie „dać nogę”<sup>2)</sup>, a kiedy zwali się na skrzydło — zamknąć gaz, powoli wyrównać i podciągnąć do poziomu. Kierunek wyprowadzenia powinien różnić się od kierunku początkowego o 180°, czyli że maszyna winna wykonać zwrot w tył. Jasne?

Uczeń w 99 wypadkach na 100 odpowiada: jasne, w 50 zaś na 99 nie ma o danej figurze akrobacji zielonego pojęcia. Częściowo rozjaśnia mu się w głowie w czasie lotu z instruktorem. Resztę musi zdobyć własnym doświadczeniem, co zresztą nie jest zbyt niebezpieczne, jeśli ma się głowę na karku, a nie sklep z włoszczyzną.

Brzozowski miał głowę, jak się przekonałem.

Mój instruktorski Morane stał obok grupy. Siadliśmy do niego. Brzozowski z przodu, ja za nim. Mechanik wystudjowanym w długiej praktyce, pełnym wdzięku ruchem zarzucił śmigło. Z pod kadłuba na lewo prychnęło dymem spalin. Wystartowaliśmy.

Wyżej i wyżej maszyna szła w niebo. Raz prosto w rozpysznione blaskiem słońce, raz w ciemniący na zachodzie błękit. Lotnisko zmalało, hangary stały się dziecinnymi klockami, miasto — rozrzuconą w dole kupką szaro-czerwonych kamyków nad wąską, poplątaną nitką rzeki i kanału. Daleka, poły-skliwa dąga Wisły zbliżyła się i rozgięła nieco. Czochrata szczytka lasów spłaszczyła się, przywarła do ziemi, jak ciemny liszaj, krata pól wypełzła i spłowiwała. Byliśmy na 1500 metrach.

Zredukowałem obroty.

— Zaczynaj pan.

Skinał głowę.

Szliśmy pod wiatr ze słońcem. Końcami stóp dotykałem orczyka i między palcami prawej dłoni lekko trzymałem sterowy drążek. Po chwili Brzozowski zaczął.

Ziemia dała nurka pod ogon płatowca. Pod skrzydła wpadło niebo, zakończone ciemną linią horyzontu, i biegło szybko, jakby śpiesząc się, by zdążyć na czas pod rozczapierzone stateczniki. Wtem orczyk boczny steru zmienił pozycję. Maszyna zatoczyła łuk, zwała się na skrzydło i nagle ścichła. Horyzont skoczył w bok, słońce zajrzało nam w oczy, wyleciało — jak piłka futbolowa — nad nasze głowy i miękko spłynęło wprost przed twarz. Wyszliśmy.

— Gazu — powiedziałem. — Jeszcze raz. Było dobrze.

Teraz główną rolę zagrało słońce: pływało po niebie, jak żółtko z rozbitego jajka po wielkim półmisku. Z przed maszyny ślizgnęło się nam pod nogi, przemknęło ostrożnie obok skrzydła, aż zostało w tyle za nami.

Potem jeszcze raz. I jeszcze.

— Dość. Schodzimy.

Wkręciliśmy się w ostrą, 90-stopniową rozpląkaną smętym gwizdem linek spiral.

Wyrównałem na dwustu metrach.

— Niech pan lądje.

Szła ku nam grupa z chorągiewką obwisłą smętnie w nieruchomym powietrzu. Ziemia urosła i była znów taka, jak zawsze zbliżona: hangary stały się wielkimi blokami z żelazo-betonu, las — kolumnadą czerwonych pni sosen z czochratem sklepieniem gałęzi, miasto — potężnym zbiorowiskiem ulic i domów.

Byliśmy już zupełnie nisko, tuż nad skrajem lotniska. Za chwilę dotknęliśmy kołami trawy. Mimo to Brzozowski nie równa maszyny.

— Ściągnąć ster, u licha!

Zdaje się mnie nie słyszeć. Nie ściąga.

Robię to sam, w ostatniej chwili. Maszyna, gwałtownie szarpnięta, skacze. Wreszcie, gdy już ma stanąć obok grupy, pochyla się na lewo i robi półobrotu. Omal nie kapotuje. Oczywiście — spadło nam koło.

Brzozowski siedzi, jak kłoda. Właściwie półleży w gondoli, choć nic się przecież nie stało.

— Wyłaż pan — mówię.

Nie odpowiada.

Trącam go.

Nic.

Trzęsę nim mocno. Nagle osuwa się na burtę. Jest śmiertelnie blady, oczy ma szkliste, półotwarte usta. Nie rusza się. Nie oddycha. Jest już prawie zimny.

— — — — —  
Nie pamiętam, czy krzyknąłem: szkło licznika obrotów popękane było w drobniutkie kawałeczki. Strzałka, czerwona strzałka — urwana i zgięta.

— — — — —  
Brzozowski zginął wraz z licznikiem; zginął przez licznik.

— Czy ja to powiedziałem?

— Nie: nie jestem przecież przesądny!

K O N I E C

Warszawa, d. 25 listopada 1929 r.

<sup>2)</sup> Ster kierunkowy (boczny) kierowany jest nogami. Dać nogę — przestawić orczyk sterowy w lewo lub w prawo.